

Podróż pod prąd - 13 grudnia 1981 i co dalej?

Podróż pod prąd - 13 grudnia 1981 i co dalej?

Berlin Zachodni, Bahnhof Zoo, środa, 30 grudnia 1981 roku, późny wieczór. Minęły już dwa tygodnie i dwa dni od ogłoszenia w Polsce stanu wyjątkowego. Miliony Polaków i Polek fakt ten zaskoczył niejako w pół kroku. Jednych w Polsce z zamiarem opuszczenia kraju, bo sytuacja wyglądała coraz mniej ciekawie, ci będą musieli rozpakować walizki i zmienić plany. Drugich, szykujących się na powrót z zagranicy, bo wyjechali bez zamiaru zostawania... ci będą się musieli jakoś urządzić w nowym położeniu i to od zaraz: praca, lokum, szkoła, przedszkole, nauka języka, nierzadko od podstaw.

13 grudnia w niedzielę byłam w Zurichu. Rano zadzwoniła do mnie przyjaciółka i wykrzyczała do słuchawki "w Polsce jest wojna!". - Jak to wojna? Skąd się nagle wzięła wojna w Polsce, skoro wczoraj jeszcze był pokój? - "Włącz radio!!!" To było rano, była niedziela, cały dom, a konkretnie koleżanka i jej chłopak, u których się zatrzymałam, spał. Telefon postawił nas na nogi. Mnie, Polkę, wykatapultował z łóżka. Tych dwoje, ona krągła apetyczna blond Szwajcarka z Południowej Afryki, on, zwany pieszczotliwie Ketch, Indianin szczepu Kechua z Kolumbii, czarne jak smoła, proste jak druty włosy do ramion, zwykle bardzo zabawny. Pia i Kecz... Za nimi była krótka przeszłość w sam raz na wstępne zakochanie się w sobie i zamieszkanie razem, przed nimi długa, jak się miało okazać, przyszłość.

W Szwajcarii byli, żeby zarobić na farmę w Afryce Południowej. Przyjęcie mnie do "Wohngemeinschaft" ("wspólnoty mieszkaniowej") było z jednej strony pomocnym gestem kolegów z pracy, z drugiej kalkulacją: 1/3 czynszu to o 1/3 miesiąca bliżej do wymarzonej farmy. Na słowo "Krieg/war/guerra" zareagowali z niedowierzaniem. Niestety, radio nie pozostawiało wątpliwości: Polen, Kriegsrecht, Walesa, Papst... i tak w kółko. Na dobicie fakt, że wszystkie telefoniczne kontakty w Polsce odpowiadały martwą ciszą. Wojnę znałam z licznych wojennych filmów, no, zgroza. W Krakowie moi rodzice z młodszą siostrą, dwie starsze siostry z rodzinami, moja ciągle świeża, choć już właściwie pomiłość, ale jednak, więc i jej rodzina...

Po licznych próbach dodzwoniłam się do polskiej ambasady w Bernie: tak, stan wojenny, nie, nie wiadomo na jak długo, nic nie wiadomo, niepotrzebnie wisiałam na telefonie. Gdy telefon się zwolnił, to zaraz się rozdzwonił: w Bernie odbędzie się marsz Polonii z finalnym protestem pod ambasadą. No, tak, niepotrzebnie tam dzwoniłam, to była władza PRL-u, teraz wróg. Była niedziela, więc dzień wolny od pracy, wzięłam pociąg do Berna, zdążyłam na marsz. Szłam obok, chodnikiem, razem a zarazem osobno, bo oni środkiem ulicy. Wolę brać udział z pozycji obserwatora, wtedy więcej widać: ludzie byli wzburzeni, zasmuceni, zdezorientowani, nikt nic nie wiedział. Każdy coś przypuszczał. Tak to zapamiętałam. Taki stan mi się udzielił.

Ja: powiedzieć "to skomplikowane" to nic nie powiedzieć. Półtora roku wcześniej miałam szwajcarskiego męża, szwajcarski dom i polską przyjaciółkę, taką naj... naj... najlepszą od pierwszej klasy szkoły podstawowej. Jakie my byliśmy dumne, że nasza przyjaźń tak długo już trwała i tak dużo przetrwała. Najpierw przyjechała do mnie na pół roku, a potem na zawsze, bo wbrew wszelkim zasadom "pierwszego wjazdu i natychmiastowych kroków na Fremdenpolizei", dostała za drugim wjazdem azyl polityczny mimo dwutygodniowego wahania się "prosić, nie prosić?" (cd. w komentarzu)